№ 26.

WARSZAWA
d. 18 (30) czerwca
1861.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Trudy nasze osładza nadzieja, a troski oczekiwanie dóbr, które nam są obiecane. (Śty Augustyn.)

POWIŚLE

(Obrazek z prawdziwego zdarzenia.)

ANTEK (Oryl.)

Ot! przecie Bogu dzięki, człek zoczy War-
[szawę;
A mówią, że mieścisko ma to być ciekawe,
Toć wierzę, bo choć ranek słychać pełno
[krzyku,
A gdzie spojrzeć, kościołów i domów bez liku.
A toć na własne uszy słyszałem te słowa,
Że większe i piękniejsze od miasta Krakowa.

WOJTEK.

Baj baju po zwyczaju, ja ci powiem przecie,
Że nie łatwo o miasto piękniejsze na świecie;
Większe wprawdzie niż Kraków, słusznie ci
[gadali,
Ale że jest piękniejsze, niech mi nikt nie chwali,
Zresztą, spytaj się Jonka, to stary mądrala,
A już słyszę, jak sobie pomrukuje zdala.

JONEK.

Ej! daj pokój staremu, bo weźmiesz po czubie,
Kiedy kto głupstwa plecie, ja słuchać nie lubię;
Jak ślepy o kolorach rozumujesz prawie,
Boś dalej jak na Solcu, sam nie był w War-
[szawie.

WOJTEK.

To i cóż ztąd wielkiego, dam ja sobie radę,
Wszak nie zaraz do domu *maszyną* (*) pojadę
I przez ten czas sam tyle zobaczę w godzinie,
Że przez rok mi wystarczy bajać przy kominie.

(Słychać głos zdala)

Hej! dziatwa zbierać nogi wartko na galary,
Kończyć co kto ma robić, już nie ranek szary.

Gospodarz rolny, Fryc pokątny doradca, później młynarz Połoski.

FRYC.

Wielmożny pan nie wierzy, na poczciwe słowa,
A to na mą uczciwość już gratka gotowa,

(*) Lokomotywę lud nazywa maszyną.

Więc po co te niechęci, na co tyle krzyku
O tę nędzną złotówkę na każdym korczyku?

GOSPODARZ.

I ty i twój Połoski znacie razem wiele,
Ty szachrujesz po mieście, on swą mąkę miele,
Ale żaden z was nie wie, co to za krwawica,
Ta nasza sandomierska złocista pszenica!..
Oj! pociecze ci dobrze pot z każdego włosa,
Nim doczekasz się trawki, a dopiero kłosa.

FRYC.

Kto mówi że nie prawda? pan ma trudów spo-
A ja mam chorą żonę i dzieci sześcioro, [ro,
I także pan Połoski by interes dobić,
Musi choć parę groszy na korcu zarobić,
A wstyd na takie państwo tak srodze racho-
Żeby mnie faktorowi na litkup żałować. [wać,

MŁYNARZ.

Dalejże gospodarzu, czyż się też to godzi,
Że się o parę groszy na korcu rozchodzi!..
Toć ja na waszej krzywdzie nie chcę zbić ma-
[jątku;
Waszeci widzę matka kąpała we wrządku.
No! pogadajmy z sobą i poszczęść nam Boże,
Waszeć spuścisz co z ceny, a ja co dołożę.

FRYC.

A to mi dobry fortel, to mi mądra głowa,
Pewnie się teraz dawna nie zerwie umowa,
Wiem dobrze, że gospodarz kiedy towar
[sprzeda,
I biednemu Frycowi z niczem odejść nie da.

GOSPODARZ.

No! niech tam zresztą będzie, jako sami
[chcecie,
Opuszczam dziesięć groszy, już mi nie
[powiecie,
Żem nudziarz albo sknera, co się próżno
[szasta...
I cóż panie młynarzu? przystajesz i basta!

MŁYNARZ.

Ej! jakoś niby chłodno o porannej porze,
Czemuż mamy jak dudki wystawać na
[dworze,
Ponoć lepiej umowa pójdzie nam w go-
[spodzie
Przy dobrym kuflu piwa, lub przy prag-
[skim miodzie.

GOSPODARZ.

Ha! możeć to i prawda i na te odwagę,
Gotówem z wami płynąć choć zaraz na Pragę,
Boć tam dziś i targ także, więc panowie moi
Dowiemy się odrazu, jak tam zboże stoi.
A kiedy swego targu na dobre dobijem,
Rozpędzim smutne myśli i litkup wypijem.

FRYC (kłaniając się).

A wielmożni panowie, upraszam w pokorze,
Raczcie nie zapominać o biednym faktorze,
Mogę zaraz zawołać na tego człowieka,
Co tam z swoim czółenkiem obok mostu czeka.

(woła)

Hej! mospanie przewoźnik masz tutaj zawinąć,
Bo wielmożni panowie chcą na Pragę płynąć.

PRZEWOŹNIK (podpływając)

I owszem czółno próżne zaraz płynąć mogę,
Niech panowie siadają i dalejże w drogę!

FRYC.

Tylko żebyś to wacpan jako wolno płynął,
Bo Wisła teraz duża, nie jeden w niej zginął.

PRZEWOŹNIK.

Patrzcie! jak to Frycowi idzie o wygody,
Cóż to, czy to on dziecko, że się boi wody?

(odpływają)



PRAGA.

Gospodarz, Młynarz siedzą za stołem.

GOSPODARZ.

No! jeszcze jedna kolej, teraz ja zapłacę,
Choć na mojej pszenicy, ni zyskam, ni stracę,
Lecz nie dbam o pieniądze, to marna zniko-
[mość,
No! zapijmy raz jeszcze szczęśliwą znajomość.

MŁYNARZ.

Owszem z całego serca, ale czas do domu,
Nie lubię ja się dawać wyręczać nikomu,
I tak bawię za długo, więc zamiast czas tracić,
Wolę wam już odrazu za zboże zapłacić.

(sięga do kieszeni)

Dla Boga kieszeń próżna! cóż się to znów zna-
[czy,
Gdzież są moje pieniądze, któż mi wytłómaczy?

GOSPODARZ.

Przecież zginąć nie mogły, gdybyś je uronił,
Toć jabym zaraz stratę waścina odsłonił,
Nikogo też tu przy nas nie było w gospodzie,
Tylko jakiś chłopczyna snuł się po ogrodzie.

MARYSIA (wchodzi.)

Cóż się to panu stało, o! mój mocny Boże!
Pieniądze tu zginęły, u nas? być nie może!

MŁYNARZ.

Zginęły moja panno, dziwi mnie rzecz taka,
Bom nikogo nie widział prócz tego chłopaka,
Co przyniósł worek piasku na twe zawołanie,
A potem sobie zniknął jakoś niespodzianie.

MARYSIA.

Więc każę go przytrzymać, choć każdemu
[w świecie
Mogę przysiądz, że dobre i uczciwe dziecię.

GOSPODARZ.

Tak, tak, wszyscy uczciwi, a nieraz w zarodzie
Niknie cała poczciwość, jak śnieg w ciepłej
[wodzie.

MŁYNARZ (wołając)

Hej! hej! panie dozorco, sprowadź tu bez
[wrzasku
Tego chłopca, co idzie tam z woreczkiem pia-
[sku.

DOZORCA (wracając z piaskarzem.)

Ha! myślałeś że umkniesz, choćno tu niecnoto!..
Czyś ty ukradł pieniądze?.. tak to z tą hołotą,
Każdy się z nich imieniem poczciwego szczyci,
A niech znajdzie sposobność, to zaraz co
[schwyci.

MŁYNARZ.

Ależ mój dobry panie, nie szarp go tak srodze,
Może podniósł, tak tylko widząc że na drodze.

DOZORCA.

Ej! po co go pan bronisz, to jest sztuczka skry-
Podniósł, ale nie oddał, ot złodziej i kwita. [ta,

PIASKARZ.

To szukajcie koło mnie, może wynajdziecie,
Nikt mnie jeszcze złodziejem nie nazwał na
[świecie;
Biedny jestem, lecz nigdym nic nie wziął ni-
[komu,
A wyszedłszy ztąd przecie, jeszczem nie był
[w domu.

DOZORCA.

Malec, a proszę słuchać, jak się to tłómaczy!..
Wezmę ja cię tu ostrzej, zaśpiewasz inaczej.
Zdejmuj no te gałgany, dalej do koszuli,
A po resztę pójdziemy szukać do matuli.

PIASKARZ (płacząc).

O! panowie, niech na mnie spadnie kara sroga,
Ale do mojej matki nie chodźcie przez Boga,
Boby ją w grób wtrąciła podejrzeń sromota,
A jabym sam pozostał na świecie sierota.

DOZORCA.

Oho! już coś być musi, słyszy pan co gada,
Zaraz się swojej matki uczciwością składa...
Musi to być nie głupia także kobiecina,
Gdy takiego mądrego wychowała syna.

GOSPODARZ.

Ale gdzie też to nasz Fryc?.. czy się gdzie u-
[topił,
Onby nam może prędzej złodzieja wytropił.

FRYC (wchodzi)

O! Fryc jest zawsze blisko, kiedy go potrzeba,
Chociaż kręcić się musi za kawałkiem chleba.
Wiem, że panowie chcieli przy miodku po-
[siedzieć,

Więcem poszedł się na targ o zboże dowie-
[dzieć.

GOSPODARZ.

Wiem, że cię na targ wiodły własne zysków
[żądze,
A biedny ot nasz młynarz, zgubił swe pie-
[niądze.

FRYC.

Jakto, zgubił pieniądze? może kradzież jaka,
Pewno to na niej tego schwytali chłopaka.

GOSPODARZ.

Nie wiem jeszcze, czy słusznie, ale tak się zdaje,
Bo cały pomieszany, choć się nie przyznaje.

FRYC.

A to jakby mnie piorun po głowie uderzył,
Taki młody i złodziej, nigdybym nie wierzył.
Ja czasem trzygroszniaka, nie mam w całym
[domu,
Ale wolałbym umrzeć, jak co ukraść komu.

BARTEK (wpada).

A! moiściewy kupiec najpoczciwszy w świecie,
Toć gonię was i gonię, aż znalazłem przecie.

FRYC.

No panie gospodarzu, o cóż wam to chodzi,
Powiadajcie mi zaraz, wszak to nic nie szkodzi.

BARTEK.

Oto mój panie miły, tutaj jest rzecz taka:
Przed godziną sprzedałem na targu wieprzaka,
A rzeźnik dał mi drobnych blisko trzy rubelki;
Ja jestem nie tutejszy, dla mnie kłopot wielki,
Nie doniósłbym ich nawet do mojej kwatery,
Więc chciałbym sobie u was zmienić na pa-
[piery,
Przecież wy przez to żadnej nie doznacie szko-
Więc mi nie odmawiajcie tej miłej wygody. [dy

FRYC (pomieszany).

No! waspan się pomylił, a to napad szczery,
Zkądbym ja wziął pieniądze, jakieś tam pa-
[piery,
Ja jestem biedny człowiek, zaświadczą pano-
[wie,
Żem cały ranek strawił tu przy ich umowie.

BARTEK.

Ej! po co kręcisz łotrze, mnie oczy nie mylą,
Przecież sam cię na targu widziałem przed
[chwilą,
Jakeś głową kiwając, mrugając oczami,
Przewracał pugilares jakiś z papierami.

FRYC.

Wacpan chyba pijany, odczep się odemnie,
Zkądby ja wziął pieniądze, wpierasz nadare-
[mnie.

BARTEK.

A cóż to myślisz frycu, żem głupie pachole,
Ze mnie lada wykrętem wyprowadzisz w pole!
Nie kłamże, nie zapieraj, ty języku smoczy
Tego, com przecie widział sam na własne oczy.
Pugilares był czarny, wyszarzany łaty,
Miał wkoło wązką ramkę wybijaną w kwiaty,
A w chwili gdyś szwargotał na boku z drugie-
List ci jakiś wyleciał i został na ziemi, [mi,
Oto właśnie go trzymam, może go przeczytasz..
Ha! słuchajno szachraju, czegóż to mnie
[chwytasz?

GOSPODARZ (podchodząc).

Pokaż no wacpan papier, niechaj spojrzę bli-
[sko,
Bo tam widzę znajome jakieś mi nazwisko.
Ej! czegóż to nasz Frycuś takie miny stroi?
Co ja widzę, to imie Połoskiego stoi.
Hej! hej! panie Połoski, mam kradzieży spraw-
Alebyś nie uwierzył jakiego łaskawcę; [cę,
Wszakże to nasz pan Frynio, nasz faktor
[uczciwy,
Nie wahał się wykonać czyn tak niegodziwy.

POŁOSKI.

Hej puścić mi chłopaka, dalej do faktora,
Niech mię dłużej nie męczy ten wstyd, jakby
[zmora,
Żem mimo własnej woli, tak grubo pobłądził
I niewinnie biedaka takiego posądził.

FRYC.

Ja sam oddam pieniądze, klnę się na sumienie,
Że się to jakoś stało tak przez zapomnienie:
Widziałem pugilares, jak się pod stół zwinął
I schowałem go w kieszeń, żeby gdzie nie zginął.

DOZORCA.

Za tę dobrą przysługę i za tę poczciwość
Wymierzy ci się zaraz ścisłą sprawiedliwość.

(Wyprowadza go z sobą.)

Piaskarz chcę także wychodzić.

POŁOSKI.

Nie odchodź no chłopczyku, bo tak być nie [może,
Ja sam cię oto pierwszy przepraszam w po- [korze;
Przebacz mi posądzenie, gniew i niecierpli- [wość,
A oto parę złotych za twoją uczciwość.

PIASKARZ.

Wiecie, żem nie jest złodziej, to żal mój osła- [dza,
Lecz się nigdy pieniędzmi krzywdy nie na- [gradza,
I ja się w mojem życiu nigdy nie odmienię,
Więcej niż zysk nieprawy, dobre imie cenię;
Bo mi matka kochana każe myśleć wszędzie,
Że Bóg patrzy się na nas, wie co jest i będzie.

GOSPODARZ.

Pójdź tu szlachetny chłopcze, pójdź w moje objęcia,
Szczycić się może matka z takiego dziecięcia;
Takieś pięknie potrafił za serca nas schwycić,
Że się całe Powiśle może tobą szczycić.
Ja wprawdzie już niedługo tu u was zabawię,
Ale wszystkim opowiem, com widział w War- [szawie:
Jak rzetelność uczciwa wpośród biednych żyje
I suknia potargana czyste serce kryje,
I czyste ziarno prawdy tkwi w prostym umyśle,
O! niechaj nam się święci to nasze *Powiśle!*

Cyganka.

—

Noc była jasna ale mroźna, ostry północny wiatr nielitościwie świszczał po kominach, niosąc z sobą tumany drobnego śniegu.

I u Wojtka Goryczki także zajaśniało na kominie kilka smolnych szczap, a kiedy płomień ich oświecił chałupę, dostrzedz było można przy jego blasku nędzę w całem znaczeniu. Kilka lichych obrazków wisiało na ścianie, w jednym kącie na nędznem posłaniu spało troje dzieci, od których znać dopiero wstała matka, na ławie pod piecem, okryty podartą sukmaniną, nierozebrany spał sam gospodarz.

Pułap chałupy już się prawie zawalał, a przez szpary w oknach i drzwiach nałeciało dosyć śniegu. Goryczka był kiedyś zamożnym gospodarzem, ale jak przyszła choroba, po niej nieurodzaj, tak zbiedniał nieborak z kretesem' chociaż nie był ani pijakiem, ani bałamutem, owszem Wojciecha nie potrzeba było pilnować przy pracy, a swojej roboty pewno się nie powstydził przed nikim.

Dnia tego kiedy się rozpoczyna nasza powieść, jak tylko ogień zajaśniał na kominie, zaraz Wojciech zerwał się z twardej ławy, przeciągnął otrętwiałe od zimna członki i przeżegnawszy się, ukląkł pobożnie przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, krótkie ale szczere zaniósł do niej prośby o błogosławieństwo na dzień cały; a powstawszy poszedł rzucić trochę paszy jedynéj krowinie, która mu pozostała z całego niegdyś licznego dobytku. Mróz jeszcze większy zaczął się wysadzać na dzień, a tu drzewa w chałupie nie było ani jednego polana, oprócz kilku szczapek, co się tliły w kominie, do lasu, w którym wolna była zbieranina, było ćwierć mili. Wojciech nie namyślał się długo, wyszykował sanczyny jakie jeszcze mu pozostały, i zaprzągłszy jedyną krowinę do nich, nie czekając nawet śniadania, zatknął siekierę za pas i powlókł się do lasu. Sanna była wyborna, że sanki same się prawie suwały, ale droga była tak olodziała, że biedne bydlę bardzo często się ślizgało, a za każdem pośliznięciem Wojciecha przechodziło mrowie.

Wojciech dojechawszy do lasu, a nie widząc na brzegu suchych gałęzi, bo broń Boże nie wolno było nic ściąć siekierą, zapuścił się głębiej w las wązką drożynką; ale las to był niewielki, a gałęzie suche wszędzie tak były obłamane, że postanowił opuścić się jeszcze niżej, pomiędzy świerczynę i olszynę, i tam nałupać choć trochę drzazgów z suchych pienków. Cisnął więc skulonemu bydlęciu wiązkę siana; przywiązał postronkiem do drzewa i okrywszy je płachtą, udał się na dół w gąszcz po gałęzie.

Ale zaledwie uszedł kilkanaście kroków, zdało mu się pomiędzy omarzniętemi gałęziami dostrzedz dym unoszący się do góry. To go mocno zastanowiło, w tem miejscu i o tej porze, ktoby się tu mógł znajdować i ogień palić? Przystanął więc namyślając się co zrobić, ale po chwili rozwagi przeżegnawszy się, postąpił jeszcze kilka kroków i zobaczył szałas zrobiony z gałęzi świerkowych, przed którym dymiło kilka dopalających się głowni. Podszedł więc jeszcze bliżej i zajrzawszy do szałasu, stanął jak wryty. Pod gałęziami świer-

czyny, na zmarzniętym mchu leżała skurczona młoda cyganka, a przy niej nowo-narodzone dziecię, które lichą otulała płachciną, przyciskając do wyschłej piersi; ale że okrycie to nie wystarczało dla nich dwojga, biedna więc matka pozbawiła się zupełnie prawie odzieży, aby tylko okryć nieszczęśliwą dziecinę. Wojciech nie mógł przemówić słowa na ten widok i nie wiedział co ma począć, gdy cyganka dostrzegłszy go, dobyła ostatek sił i usiadłszy na ziemi zaczęła mówić jęczącym głosem:

— Ktokolwiek jesteś mój poczciwy gospodarzu, zlituj się nad biedną nieszczęśliwą sierotą, a Bóg cię wynagrodzi stokrotnie za to: owieczki twoje rozmnożą ci się jak liście na drzewie, pszczoły twoje sto ci ulów wydadzą, a z jednego ziarnka pszenicy będziesz miał cały korzec, i tym podobnie, jak to cygany umieją i mają zwyczaj mówić. I wyrzekłszy to ze łzami w oczach, upadła z osłabienia na ziemi.

Poczciwe serce Wojciecha zadrgało litością; postanowił przyjść biedaczce w pomoc. Dorzucił więc zaraz suchych gałęzi do ognia; kiedy się te zajęły i ogrzały nieco skośniałą cygankę, wyjął flaszkę z wódką z torby i podał ją chorej. Ta zdziwiona tą niespodziewaną pomocą, wdzięcznem okiem spojrzała na wieśniaka i przyłożywszy szyjkę flaszki do ust, w paru łykach wyciągnęła wszystko i rzekła:

— Niech ci Bóg Najwyższy nagrodzi; trzecią dobę nic nie miałam w ustach, nasi poszli po proszonem już drugi dzień, może ich gdzie przyaresztowali, ja tu sama zostałam, złożona chorobą, gdzie mi też jak widzę przyjdzie i skończyć.

— Ej moja kobieto Bóg jest nad nami!.. A możebyście co zjedli? dodał Wojciech, sięgając do torby.

— Czy jabym co zjadła? zawołała cyganka, a oczy jej się zaiskrzyły; jabym kamienie gryzła około siebie, gdybym je miała. Patrz, nie mam ani kropli pokarmu dla tego biedactwa.

Wojciech nie namyślając się ani chwili, podał jej całe swoje śniadanie, sér, chléb i kiełbasę; cyganka jak wilczyca rzuciła się na dany jej posiłek i nie wyszło dwóch pacierzy, pożarła wszystko z chciwością. Wojciech stał z założonemi rękami, patrząc na żarłoczność cyganki i radując się w duszy spełnieniem dobrego uczynku.

Ciepło ognia i pożywienie jakiego dostarczył jej Wojciech, ożywiło nieco nieszczęśliwą; usiadła więc znowu i z ziębłą dziecinę ogrzewać zaczęła przy ogniu. Biedactwo to po chwili zakwiliło przeraźliwie, jakby żądało pokarmu, którego mu wyschła pierś matki dostarczyć nie mogła. Wojciech głęboko widokiem tym wzruszonym, myślał sobie: Jużci to zawsze jest człowiek, stworzenie boskie, zostawić ją tu na takim zimnie, to niepodobna, bo zmarnieje wraz z dziecięciem.

Zrobiwszy więc takie postanowienie, Goryczka czemprędzej nałamał suchych gałęzi, aby mu na parę dni wystarczyło i powracając do grzejącej się cyganki, rzekł:

— Bóg z tobą moja kobieto, na mróz się jakoś jeszcze większy zanosi; gdybym cię tu zostawił, to chociaż jesteś cyganka, przecie nie z żelaza, zmarzłabyś jak kurczę ze swojem dzieciakiem. Stoją tu niedaleko moje sanki, podnieść się więc jeżeli możesz i jedź zemną do wsi, przecie ci tam może prędzej dopomożemy niż tu drapieżne zwierzęta.

Cygance łzy stanęły w oczach na tę mowę zacnego wieśniaka, chciała się podnieść, ale nie miała na to dość siły.

— Poczekaj no moja kobieto, mówił Goryczka pas odpasując, tu w lesie to jeszcze jakoś ciszej, ale tam na polu wiatr do kości przejmuje. Ja mam dwie sukmany na sobie, a zresztą będę szedł przy bydlęciu to się zagrzeję, ty się zaś okryj ze swojem niemowlęciem, bo chociaż to cyganiątko, ale zawsze stworzenie Boskie.

I to mówiąc, podał biednej zdjętą już z siebie sukmanę i pomógłszy wstać, doprowadził do sanek, a zrobiwszy jakie mógł na prędce siedzenie, pooptulał nieszczęśliwą matkę, i wziąwszy bicz w rękę, poszedł piechotą głodny około swojej *sadochy* często pod górkę, albo w zaspach śniegu sam popychając.

Ludzie wychodzili właśnie na pańskie, kiedy Wojciech do wsi dojeżdżał. Jaki taki zobaczywszy go powracającego z takim kramem, przystanął i zaczął się przypatrywać, tu i owdzie odezwały się śmiechy i nareszcie głośno zaczęli szydzić z biednego chłopka, który nacisnąwszy czapkę na uszy, poganiał jak mógł sadochę, ażeby prędzej stanąć w chałupie.

Kaśka wyglądała właśnie oknem, a zobaczywszy, że się coś rusza na furze, ciekawością zdjęta wybiegła czemprędzej przed sień, uj-

rzawszy zaś skuloną cygankę, stanęła jak wryta na miejscu, wzrokiem tylko zapytując się swojego chłopa. Ten w kilku słowach opowiedział jej całe zdarzenie, Kaśka wysłuchała go cierpliwie, a kiedy dokończył, nie tylko że się na niego nie pogniewała, lecz nawet rzekła doń, pomagając zesiąść cygance.

— Dobrześ zrobił, żeś tę chudaczkę poratował i zabrał z sobą tutaj; Bógby nas skarał, żebyśmy opuścili w takiem zdarzeniu bliźniego.

Poczem wprowadziła chwiejącą się od osłabienia cygankę do chaty, rozpaliła suty na kominie ogień, a Wojciech przez ten czas przyniósł parę snopków słomy i usłał wyborne posłanie za piecem dla cyganki. Ta dziwnym tylko wzrokiem patrzała po ubogich sprzętach chałupy i na krzętających się koło niej gospodarzy. Mocna to jest cygańska natura, dlatego też i chora z największym apetytem wszystko zjadła, co sobie ujmując od gęby, podała jej Wojciechowa, i na drugi dzień już tak przyszła do siebie, że zaczęła po chałupie łazić i rozmawiać to o tem, to o owem z gospodarzami. Na trzeci dzień przywaliło się dziewięcioro do wsi cyganów, a kiedy im ludzie powiedzieli, że się jedna z nich znajduje u Wojciecha, natychmiast wszyscy hurmem zapełnili chałupę. Nie pomału przelękła się Wojciechowa, ażeby czasem co nie ściągnęli, bo to takim gościom nie koniecznie trzeba dowierzać; ale zaraz na wstępie najstarszy ślepy na obydwa oczy cygan, którego oprowadzał chłopak za rękę, oświadczył donośnym głosem, że się nie mają czego obawiać, że ani ździebełko słomy, ani ziarnko zboża im nie zginie i obróciwszy się do swoich, coś im surowo cygańskim zapowiedział językiem.

Kiedy się postrzegła cyganka, siedząca w tej chwili pod piecem, natychmiast zerwała się jakby ją kto oparzył, i długo rozprawiając, na wszelkie strony coś opowiadała, a pokazywała na siebie, na dziecko i Wojciecha. Cygany słuchały jej z największą uwagą, najwięcej zaś uważał młody cygan, którego była żoną, a kiedy skończyła opowiadanie, wszyscy coś długo pomiędzy sobą radzili, znać naradzali się, jakby tu wynagrodzić poczciwego chłopka; po czem ślepy starzec zbliżył się do Wojciecha, dziękował po tysiąc razy i inni toż samo na rozmaite głosy. Tymczasem jeden z nich wysunął się do karczmy i przyniósł sporą butelkę gorzałki, kilka łokci kiełbasy, czem cyganie gwałtem częstowali gospodarzy. Wśród tego jeden z nich grał na skrzypcach, drugi na bańdurze, a mały cyganiak wyskakiwał po ziemi kozaka i wywracał rozmaite koziełki, aż się ludzie na ziemię kładli od śmiechu. Po skończonych pląsach ślepy cygan kazał się podprowadzić do Wojciecha i prosił go, żeby z nim wyszedł do komory, bo chciał z nim pomówić na osobności, a kiedy go Wojciech odprowadził na bok, ten mu rzekł do ucha.

— Wyrządziliście dobrze jednej kobiecie z naszej gromady, już my się wam za to odpłacimy, i przyprowadzimy dla was parę takich źrebców, jakichście jeszcze nie widzieli; a już się nie obawiajcie, dostaniemy je gdzie z za Buga o jakie 50 mil ztąd, to zjadłby licha, ktoby tu po nie trafił.

Na tę mowę Wojciech wyrwał z gniewem rękę z rąk cygana i rzekł:

— Jeżeli mi jeszcze raz coś podobnego powiecie, to was zaprowadzę do sołtysa i powiem mu, żeby was kazał powiązać, jako złodziejów i transportem odesłać do miasta, a nie czekając odpowiedzi porzucił starego.

Wkrótce cyganie podziękowawszy raz jeszcze Wojciechom, opuścili chałupę, zabierając z sobą cygankę; ale nie wyszło pół godziny, aż tu znowu skrzypnęły drzwi od chałupy, i ukradkiem wsunęła się niemi ta sama cyganka i zamknąwszy je czemprędzej za sobą, odezwała się do Wojciechów stłumionym głosem:

— Wróciłam się do was moi kochani gospodarze, żeby wam jednę bardzo ważną rzecz powiedzieć, która powinna wam przynieść nie mało korzyści; ale na miłość Boga, nie wydajcie mnie, że to odemnie wiecie. Ksiądz w Zbuczynie o trzy mile ztąd, mówią ludzie że siedzi na ogromnych pieniądzach, wiedzą o tem dobrze rabusie, i w nocy z czwartku na piątek zrobią najazd na niego; z naszych tam nie będzie żaden, dlatego to wam mogę powiedzieć. Bandą tą dowodzi niejaki *Baran* i będzie miał przynajmniej sześciu ludzi z sobą; trzeba więc żeby się ksiądz dobrze tej nocy obsadził, a wszystkich połapie. Wy zaś weźcie nogi za pas i cichaczem opowiedźcie to księdzu, a on was niewątpliwie dobrze wynagrodzi, i to powiedziawszy, wybiegła szybko z chałupy.

Wojciech przykazawszy żonie, żeby nikomu o tem nie wspominała, zarzucił torbę z chlebem przez plecy i puścił się do Zbuczyna.

Ksiądz dziekan był właśnie w domu, a gdy mu Wojciech rzecz całą opowiedział, ten mocno się z początku zafrasował, lecz że nie było czasu do stracenia, wziął się ostro do przygotowania odparcia napadu; przedewszystkiem zaś sprowadził cichaczem z miasteczka na oznaczoną noc żandarmów i ukrył ich w stodole.

Światła wszystkie kazał pogasić, i tak czekał na przybycie rozbojników. O samej północy popękały raptem podważone okienice i siedmiu rabusiów wskoczyło do pokoju sypialnego dziekana. Złoczyńcy zaraz wzięli się do biórka i komody i zaczęli je otwierać. Ale w tejże chwili kilku żandarmów z dobytemi pałaszami wpadli przez otwarte okno do pokoju; rabusie chcieli się ratować ucieczką, ale że dom cały był otoczony, wszyscy więc po krótkim oporze zostali ujęci. Pomiędzy nimi znajdował się i sam ich dowódca *Baran*, za wydanie którego naznaczoną była nagroda w kwocie rs. 500.

Ksiądz dziekan zawdzięczając ocalenie siebie i swego imienia Wojciechowi, sowicie go wynagrodził, a nadto wyjednał i ową nagrodę. Tak więc odrazu stał się Wojciech panem znacznych pieniędzy, za które sobie kupił hubę ziemi, i nie przestając chwalić jak dawniej Boga, chętnie niósł pomoc każdemu, pomnąc na te słowa Zbawiciela: „To, co dacie nieszczęśliwemu w Imie moje, mnie dacie.“ Bóg też poczciwej pracy jego błogosławił.

Cmentarz Powązkowski.

W dawniejszych czasach nie było ogólnego cmentarza w Warszawie; grzebano umarłych w grobach pod kościołami, albo też chowano na cmentarzach obok świątyń istniejących. Kościół Śgo Jana, XX. Bernardynów, XX. Augustyanów i XX. Reformatów miały najobszerniejsze cmentarze. Dopiero za biskupstwa Okęckiego r. 1782 wyszedł zakaz chowania umarłych przy kościołach. Pierwszy oddalony od kościołów cmentarz był na Nowym Świecie, w tem miejscu, gdzie dziś jest ogród należący do domu nro 1258*a*. Pierwszy zaś ogólny za rogatkami cmentarz dla Warszawy, to jest dzisiejszy Powązkowski, założony został dnia 4 listopada 1790 r., na gruncie do jurydyki Szymanowskiej należącym, który bracia Szymanowscy z Bronisz ofiarowali. Panowie znakomici dopełnili tej ofiary, a król wystawił kościołek pod wezwaniem Śgo Karola Boromeusza. W r. 1834 zarząd cmentarzy katolickich odjęto b. Komissyi województwa Mazowieckiego, a poruczono Urzędowi Municypalnemu miasta Warszawy, zmieniono taryffę z r. 1822, i odtąd najbiedniejszy człowiek wywożony bywa karawanem na miejsce wiecznego spoczynku. Ustanowiono też osobnego oficyalistę do dozoru karawanów i wszelkiej własności, sprawionej kosztem funduszu *pokładnego*. Następnie w r. 1836 sprawiono wszystkie karawany nowe, ubrano ludzi im towarzyszących, a w r. 1838 po zamknięciu cmentarza Ujazdowskiego, cmentarz Powązkowski rozszerzano gruntem bezpłatnie nadanym i odtąd dla całej Warszawy przeznaczono. Wybudowano wtedy katakumby, podzielono cmentarz na kwatery, rzędy i groby, spisano pomniki i w inwentarz objęto.

Od tej też epoki służba i kopelan stały istnieć zaczynają.

Cmentarz Powązkowski pierwotnie przeznaczony był tylko dla trzech parafij: Śgo Jana, Panny Maryi i Śgo Andrzeja; nazywał się wtedy *Cmentarz polowy*, a później dopiero *Powązkowski*.

Ciche to ustronie, spoczynek umarłych coraz bardziej się upiększa; jest to dowodem prawdziwej pobożności mieszkańców Warszawy. I nie dziw, miejsce to święte, które łączy żyjące pokolenie z cieniami dziadów przez święte pośrednictwo modlitwy i pamiątek rodzinnych. Spokojni już ci, których łódź dobiła do brzegów wieczności; szczęśliwi, jeśli tak żyli tu na ziemi, iż położyli zasługę przed krajem, zaskarbili sobie miłość u braci, a zjednali łaskę u Boga!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 18 (30) czerwca 1861 roku.